
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Obecnie zesłańcze relacje drukuje też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

*

Danuta Pietrzak – Wspomnienia

Nastał rok 1939, miesiąc wrzesień. Z Sowietami podpisaliśmy pakt o nieagresji¹, a oni 17 września przekroczyli wschodnią granicę. Złamali pakt, zadając cios od tyłu Polsce, która borykała się z najeźdźcą niemieckim. Ojciec wrócił ze służby i w szybkim tempie zaczął się pakować do drogi. Trochę bielizny, żywności. Wiedzieliśmy tylko tyle, że wraz z tajnymi aktami i z kolegą „po fachu” jadą w stronę Litwy. Krótkie pożegnanie z mamą i z nami: „Nie martwcie się, szybko wróć” i cicho wypowiedziane słowa „a może nie”. Wówczas miałam 15 lat, a brat Czarek – 11. Ojca już nie zobaczyliśmy. Został zamordowany przez sowietów w Miednoje² (obóz Ostaszków) między

¹ 25 lipca 1932 r. zawarto w Moskwie polsko-sowiecki pakt o nieagresji. Obie strony wyrzekły się wojny jako narzędzia polityki narodowej w ich wzajemnych stosunkach, zobowiązują się wzajemnie do powstrzymywania się od wszelkich działań agresywnych lub od napaści jedna na drugą, zarówno samodzielnie, jak łącznie z innymi mocarstwami.

² Wiosną 1940 r. w Miednoje pogrzebano zamordowanych przez sowiecką policję polityczną NKWD funkcjonariuszy służb mundurowych: policjantów, pograniczników, funkcjonariuszy służby więziennej i straży pożarnej oraz urzędników państwowych. Po agresji sowieckiej na Polskę ofiary zbrodni zostały aresztowane i przetrzymywane w obozie jenieckim w Ostaszkowie. Od 5 kwietnia do 14 maja 1940 r. więź-

5 a 7 kwietnia 1940 r. Stało się to tuż przed naszym wywiezieniem do Rosji. Jednak dowiedzieliśmy się o tym dopiero po powrocie do kraju. Wszystkie pisane w tym okresie listy do obozu w Ostaszkowie wracały z adnotacją „adresat wybył”. Od ojca dostaliśmy jedynie dwa listy, ostatni z lutego 1940 r. Przytoczę fragment wypowiedzi jednego z ocalałych, więźnia z Ostaszkowa: „Tak wlokły się beznadziejne dni, aż nadszedł dzień 4 kwietnia 1940 r. Tego dnia odszedł z obozu pierwszy transport – około 70 ludzi. Zaczęło się rozładowywanie obozu”.

Transport w ilości 98 osób wyruszył 5 kwietnia 1940 r. Na tej liście figurowało nazwisko ojca. Straciliśmy ojca i cały dobytek rodziców. Często zamykam oczy i widzę nasze mieszkanie, ogródek. Radio (to pierwsze – ze słuchawkami) i głos Szczepcia i Tońcia ze Lwowa³. Głos ojca, który po pracy zdejmował mundur, przebierał się i już był w ogródku. Siał, pikował, tworzył kolorowe klomby – dywany z kwiatów. To było jego królestwo. Gdy zdarzyło się, że mamie wielkanocne baby nie wyrosły, ojciec zakasywał rękawy i piekł je od nowa. A ten nasz wielkanocny stół z prosiaczkiem na półmisku, bażantem..., wszystko tworzone, pieczone przez ojca. Był przysłowiową złotą rączką. Wszystkie zabawki dla lalek miałam wykonane przez ojca: stoliki, krzeselka, łóżeczka, i to nie byle jakie, misternie rzeźbione, polerowane Boże Narodzenie, Wielkanoc – całą czwórka sześliśmy do kościoła farnego. Każdej Wielkanocy dostawałam obowiązkowo nowe pantofle. Byliśmy zwyczajną, typową rodziną, która żyła bez waśni. Na co dzień ojciec służył w III Komisariacie Policji Państwowej (na rogu ulicy Świętojańskiej i Mickiewicza) – od roku 1922 aż do owego pamiętnego dnia września 1939 r.

Pamiętam, że w okupowanym przez Sowieców Białymstoku były długie kolejki po chleb. Nikt z mieszkańców nie był pewny ani dnia, ani godziny. Po ulicach poruszało się wojsko sowieckie w brudnych, obstrzępionych szynelach. Za niektórymi ciągle unosił się zapach duszących perfum. Ciągłe słyszę śpiew „pajdiom, pajdiom, za sowieckuju włast pamrom”.

Nastał kwiecień 1940 r. 12 kwietnia 1940 r. był dniem pochmurnym, mglistym, ni to mżawka, ni opadająca mgła. W ten piątek umówiłam się ze swoją szkolną sympatią Gienkiem. Poznałam go na wakacjach latem 1939 r. W sierpniu przed wybuchem wojny byliśmy na koloniach w Druskiennikach. W piątkowe popołudnie chodziliśmy po ulicach, ot tak bez celu. Ja w granatowym płaszczku z niebieskimi wypustkami, w berecie na bakier. On również w gimnazjalnym płaszczu i czapce, której daszek koniecznie musiał być pogięty. Mówiliśmy mało, ale było nam ze sobą dobrze. Myślałam, o tym, że niebawem będzie zielono i ciepło. Takie tam młodzieńcze dumki... Gdy już dobrze płaszcz nasiąkł wilgocią, Gienek odprowadził mnie do domu i po krótkim

niowie byli systematycznie mordowani strzałem w tył głowy. Zob. „...wierzymy mocno że wrócisz...”. *Korespondencja wydobyta z dołów śmierci Charkowa i Miednoje ze zbiorów Muzeum Katyńskiego*, Warszawa 2017; M. M. Blombergowa, *Echa z dołów śmierci Charkowa i Miednoje*, „Zesłaniec” 2018: 73, s. 47-54.

³ Bohaterowie „Wesołej Lwowskiej Fali”. W żartach przypominali o polskim Lwowie jako symbolu utraconych ziem wschodnich II Rzeczypospolitej. Program nadawany z lwowskiej siedziby Polskiego Radia o godzinie 21.00 w niedziele cieszył się ogromnym zainteresowaniem słuchaczy.

„no to cześć, do jutra” rozstaliśmy się. Jutro randki nie było. Po powrocie do domu, powiesiłam swój płaszcz na wieszaku w kuchni i tak już tam pozostał, nigdy więcej go nie założyłam.

Tuż przed północą, rozległo się to okropne walenie w drzwi. Dom został otoczony uzbrojonymi żołdatami. Usłyszałam tupot nóg i krzyki „adkroj dwieri”. Dwóch funkcjonariuszy wtargnęło do mieszkania z karabinami wycelowanymi do strzału. Padł rozkaz: „pakujcie się i to szybko!” Przemknęło mi przez myśl, że bandyci najlepiej czują się nocą lub o zmroku. Rozbudzeni ze snu, zaskoczeni, półprzytomni, nie mieliśmy pojęcia co zabrać ze sobą, w co zapakować. Walizka wydawała się za mała, a duży, solidny kuferek, zamykany na klucz, stał i pewnie się uśmiechał z politowaniem, ale nikt na niego nie zwrócił uwagi. Wezwana przez żołdatę gospodyni domu pani Helena Szumska podpowiedziała: „flocznik”. Chwilę potem z „flocznika”, wypełnionego zbitymi odpadkami wełny, wysypano na środek pokoju tak zwane „fłoki” i zaczęto do niego wrzucać co popadło: pościel, garnki etc. Powstał istny galimatias.

Ubierałam mamę, brata i siebie w podwójną ilość bielizny osobistej, pamiętając pogłoski o wywiezionych zimą leśnikach, którzy zostali ograbieni z bagaży. Usłyszałam jak jeden z żołdatów mówił „Skończyły się wasze, pańskie prawa”. Ogarnęła mnie wściekłość. Za oknami odezwał się warkot motoru ciężarówki. Ten warkot prześladował mnie w snach wiele lat. Załadowali nas do tej ciężarówki. Noc, ciemno, trudno było poznać kto jest kto? Zjechaliśmy na boczny tor, gdzie stał bydlęcy pociąg z brudnymi wagonami. Co chwila otwierały się drzwi i kogoś wrzucali (dosłownie). Oczy oślepione panującą ciemnością, nic nie widziały. Gdzieś z kąta słychać było czyjś płacz. Gdzie szukać miejsca po omacku? Z zewnątrz dochodził łomot, opukiwano deski ścian wagonu, ktoś chodził po dachu wagonu. Wieźli przecież przestępców – matki i dzieci.

Ktoś z góry (pryczy) zawołał nas do siebie. Było tam jeszcze trochę miejsca. Okazało się, że była to Hela Błońska z rodziną. Drzwi się znów otworzyły, wywołali nasze nazwisko Słoniewska i podali bochenek chleba (do dnia dzisiejszego nie wiem, kto go podał, przypuszczam, że pani Szumska). To była jedyna żywność, z którą wyruszyliśmy w drogę. Ciągłe nas liczyli, zapisywali. W wagonie było jedno małe, zakratowane okienko, do którego na zmianę dopuszczana jest coraz inna osoba. Na granicy odbyła się przesiadka do sowieckiego, towarowego pociągu (na terenie Związku Sowieckiego były szersze tory). Pociąg ruszył, krajobraz zmieniał się na bardziej ubogi. Mijaliśmy kolejne wsie, miasta, Widać było biedę i bardzo strudzonych ludzi. Czasami udało się na postoju z kimś zamienić kilka słów.

Któregoś dnia, będąc na warcie przy okienku, a był to postój pociągu, podczas którego wypuszczano z wagonu po dwie osoby, aby przyniosły dla współtowarzyszy niedoli wiadro wrzątku lub zupy, tak zwanej „szczy” (rodzaj kapuśniaka) i chleb; patrzę i oczom nie wierzę. Czy to sen, czy jawa? Kogo widzę? Gienek – w swoim gimnazjalnym płaszczu. Niósł wiadro, z wodą lub z zupą „szczy”. Jego rodzinę spotkał ten sam los. Nie byłam sama. I jakoś raźniej zrobiło się na duszy. Przemknęła wówczas, jak mgnienie oka, myśl: dlaczego ja zostawiłam w kuchni swój płaszcz? Mam w bagażu tylko kurtkę, którą nakładałam do jazdy na łyżwach. Kurtka była uszyta z czarnego aksamitu, miała szary kołnierz.

W ostatniej chwili wtłoczono do naszego wagonu Żydówkę, ponoć żonę fabrykanta. Jej piękną pościel z atlasu wrzucono luzem pod nogi. Ta pani bardzo się krępowała załatwiać swoje fizjologiczne potrzeby w wiaderko lub w dziurę w podłodze. Podczas postoju wołała „towarysz adkrywaj dwieri, mienia bolit żywot”. Stukała i błagała „ja was umalaju”. Po drugiej stronie panowała cisza, a kobieta wiła się z bólu. Jechał z nami również szewc z żoną i gromadką dzieci. Widać było ubóstwo tej rodziny. Ponoć wywieźli go za to, że syn był zawodowym wojskowym. Otóż ten szewc (nazwiska nie pamiętam) nerwowo nie wytrzymał. Butami zaczął walić w drzwi i krzyczeć „tawaryszcz adkrywaj dwieri, ja srać chaczu”. Był biegły w języku rosyjskim. Drzwi, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, otworzyły się. To był przedsmak kultury i tego co nas czekało. Nie myliłam się, ani na jotę.

Minęliśmy piękny Ural. Miałam szczęście podziwiać go przez okienko. Następnie przejechaliśmy przez miasto Ufę⁴, potem Czelabińsk⁵. Znaleźliśmy się w Azji. Żegnaj Europo. Smutek ścisnął serce. Dalej przeważnie, zatrzymywaliśmy się o zmroku, na bocznych torach. Nie myliliśmy się (w pełnym tego słowa znaczeniu). Pot, woń kału, uryny była naprawdę udręką. Minęliśmy Pietropawłowsk⁶. W końcu kwietnia dotarliśmy do Pawłodaru⁷ w Kazachstanie. Stolica pawłodarskiej obłasci okazała się większą wsią z brudnymi domkami, brudnymi szybami i piaszczystymi ulicami. Zawieźli nas gdzieś na obrzeża wsi do baraków i namiotów wojskowych. Nareszcie stanęliśmy na wyprostowanych nogach na powietrzu. Umyliśmy się. Kobiety tłoczyły się przy polowej kuchni, aby ugotować coś dzieciom. Młodzi wypatrywali znajomych. Wiedziałam, że gdzieś jest Gienek. Nareszcie spotkaliśmy się. Nie słowa, ale błysk radości w jego oczach powiedział wszystko. On nie miał pojęcia, że jechałam tym transportem. Poznałam wówczas jego mamę i czteroletniego brata Januszka. Postój trwał dwa dni. Podjeżdżały ciężarówki, do których ładowali ludzi. Gdzie ich wieziono? Nikt nic nie mówi, nikt nic nie wiedział. Brak informacji. Zgiełk podniecenia. Patrzyłam bezradnie i ze smutkiem, jak na jedną z wielu ciężarówek został załadowany Gienek z rodziną. Znikli z moich oczu na zakręcie, a za nimi tumany kurzu. Pojechali, ale dokąd?

Po upływie pół godziny i na nas przysłała pora, siedzieliśmy załadowani, a potem ruszyliśmy w nieznaną. Przed nami rozciągał się step, gdzieś stała jakaś chałupa. Ciężarówka zatrzymała się na skraju wsi, obok widać było kilka domostw. Skopali nogami nasze bagaże, tobołki i jadą dalej, bez żadnego wyjaśnienia. Nasz los był im obojętny. Po prostu wyrzucili śmieci. Nastąpiła szarówka.

Końchoz⁸ ten nazywał się Zangar i był zamieszkały przez Kazachów. Zostaliśmy otoczeni ze wszech stron. Obmacali nasze bagaże, poświergotali po swoim i ciągnęli nas (na migi) w kierunku chat. Znaleźliśmy się w izbie. Absolutnie nic nie rozumieliśmy z tego, co do nas mówili. W kącie leżała słoma, wskazali go ręką. Zrozumieliśmy, że jest przeznaczony dla nas.

⁴ Miasto w europejskiej części Rosji położone nad rzeką. Ważny węzeł komunikacyjny.

⁵ Miejsowość na terytorium Rosji. Jeden z najważniejszych ośrodków produkcyjnych zaplecza frontu, zwanym Tankogrodem (miastem czołgów).

⁶ Miasto położone nad rzeką Iszym w północnym Kazachstanie.

⁷ Miasto obwodowe w północno-wschodniej części Kazachstanu, położone nad Irtyszem.

⁸ *Kollektywnoje chozajstwo* oznaczające w języku rosyjskim gospodarstwo kolektywne. Był to rodzaj przedsiębiorstwa rolniczego charakterystyczny dla ZSRS.

Po przeciwległej stronie stał piec z wmurowanym kotłem, a w nim bulgotało skwaśniałe mleko. Później okazało się, że ten sposób warzy się tak zwane „kirczyki”⁹. Nad tym kotłem wisiało mięso baranie, oblepione rojem much. Kiedy mama usłała postanie, legliśmy na nim bardzo głodni i strudzeni przeżyciami minionego dnia. Byliśmy przerażeni, gdy wieczorem do izby wprowadzono cielaka, na szczęście uwiązano go. „Chwała Bogu” – pomyślałam. Szczytem wszystkiego było, gdy gospodarze rozebrali się do naga i położyli się pokotem – dzieci i rodzice na „kaszama”¹⁰.

1 maja 1940 r. ranek był pogodny. Z okolicznych chałup i pobliskich baraków wychodzili licznie Polacy. Wśród nich było mnóstwo młodzieży i oczywiście – mój Gieniuś. Pamiętam ten błysk w oczach. Co za radość! Czy to znów przeznaczenie? Przecież tymi ciężarówkami rozwożono Polaków po całym Kazachstanie „na cztery strony świata”. Zwołał nas „predsiedatiel kołchoza”¹¹, jako jedyny chyba znał język rosyjski. Montował brygadę do sadzenia arbuźów i do innych prac polowych. Była z nami pani Żukiewicz z córką Olą i synem. Była pani Bakunowicz z córką Leną, pani Niwińska z córką Niusią, synami i babcią, pani Kutylowska z córką Janką i synem Zygmuntem, pani Tomczak z rodziną, pani Stasiewicz z dziećmi i wiele, wiele innych nieznanych przed tym rodzin.

Odczuwaliśmy brak soli. Okazało się, że około 10 km od nas znajdowało się słone jezioro, z którego wydobywano sól. Wybraliśmy się tam małą grupką: Ziutek Stasiewicz, Gienek Pietrzak, Nusia Niwińska, Renia Tomczak i ja. Dotarliśmy szczęśliwie na miejsce. Przywitała nas grupka Polaków, którzy tam pracowali. Spotkałam tam panią Ołdakowską z córkami (ze starszą – Melą byłam na kolonii w Druskienikach). Była tam również pani Brus z rodziną. Pokrzepieni zapachem soli wróciliśmy do Zangaru.

Pracowaliśmy dalej na roli – przy sadzeniu ziemniaków, arbuźów i innych pracach. Mieliśmy ogromne trudności w porozumiewaniu się z tubylcami. Naszym matkom nie odpowiadał kazachski Zangar. Do NKWD w Pawłodarze udała się delegacja Polek z prośbą o przeniesienie do innych posesiłek¹², ale zamieszkałych przez Rosjan. W końcu maja przyjechały do Zangaru ciężarówki. Na polecenie NKWD wywieźli nas znów w niewiadomym kierunku. Dokąd? Na to pytanie nie chcieli udzielić odpowiedzi. Rodzina Pietrzaków jechała inną ciężarówką, my inną. Rozwieźli nas po różnych kołchozach pawłodarskiej obłści, ale już zamieszkałych przeważnie przez Rosjan.

Przyjechaliśmy do kołchozu o nazwie Urliuciup nad Irtyszem. Codziennie w kantorze grupa Polaków musiała się meldować. Mieszkańcy Urliuciupu zostali pouczeni, że przywieziono wrogów narodu sowieckiego – „popleczników” – tych, którzy zostali osadzeni w więzieniach i obozach. Miejscowa gazeta pisała, że Polska to ropiejący wrzód. Nie można było podjąć żadnej oficjalnej pracy. To trwało do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Tymczasem trzeba było żyć, a raczej wegetować. Biegaliśmy po kołchozie

⁹ Kirczyki stanowiły rodzaj pożywienia w Kazachstanie. Formowano je ręcznie z osuszonego zsiadłego mleka w bryłki i suszono na dachu.

¹⁰ Kaszam to zbity wołok, coś w rodzaju dywanu.

¹¹ Przewodniczący kołchozu.

¹² Posiołek był rodzajem osiedla, wsi.

i obserwowaliśmy. Jeżeli ktoś zabił świniaka, zabieraliśmy jelita, bo one były wyrzucane przez kołchoźników. Nie znano tu żadnych wyrobów: wędlin, kaszanki, salcesonów. Patrzono na nas z politowaniem. Po zdobyciu jelit, musieliśmy zapracować na ziemniaki, bądź pójść w pole „na podkopy”. Chociaż bez tłuszczu smakowało wyśmienicie.

Nasze¹³ matki, gdy zamieszkaliśmy razem (zostało nam bowiem udostępnione mieszkanie przez Rosjanek o imieniu Sciesza) zaczęły parać się szyciem. We wsi była tylko jedna maszyna do szycia, pamiętająca „cara batiuszkę”. Za szycie dostawały mleko, wybierając dziennie po pół litra, lub miarkę mąki. Była więc zacierka na wodzie, zabelana mlekiem. To już było coś. Któregoś dnia przyszedł do naszych matek starszy wiekiem Rosjanin (bo młodzi byli już zmobilizowani) i poprosił o uszycie tuboła¹⁴. Moja mama już otworzyła usta, aby powiedzieć, że nigdy w życiu kozuchów nie szyły, ale w tym momencie została silnie kopnięta w kostkę. Mama Gienka oświadczyła z całą powagą, że kozuch uszyją, tylko proszą o przyniesienie na wzór starego kozucha. Uszyły go ręcznie, chociaż palce były niemilosiernie pokłute, brak napałka wielce odczuły, ale wilk był syty i owca cała.

Tak się żyło. Wszystkiego było mało. Ciągłe odczuwaliśmy głód. Polacy zaczęli jeść obierki. Nadarzyła się jednak okazja. W kołchozie był pomór bydła, brakowało paszy. Każdego dnia jakaś sztuka padała z głodu. Gnane z wodopoju bydło przechodziło koło naszego domu. Mama Gienka zauważyła, że przy naszej sionce codziennie zatrzymywała się chuda, jak przysłowiowa szkapa, jałówka i mordą sięgała do dachu, gdzie sterczały szczątki siana. Nie mówiąc nic nikomu, postarała się o siano, otworzyła drzwi do sionki i tam je rozsypała. Pomysł chwycił. Jałówka weszła do sieni.

Nie mieliśmy czym palić. Trzeba było udać się na przeciwległy brzeg Irtysza, aby narąbać łożyny. Poprzedniego dnia od sąsiadów pożyczyliśmy sanki, siekierkę i sznur. Nastąpił ten niezapomniany do końca życia dzień – koszarne wspomnienie. Ranek był mglisty, ale mróz stosunkowo niewielki. Z nieba prószył drobny śnieg. Ruszyliśmy ochoczo na przeciwległy brzeg, podśpiewując „Pada, pada śnieżek biały...”. Pogoda zaczęła się szybko zmieniać. Śnieg coraz bardziej gęstniał. Widoczność spadła do około dwóch metrów. Gienek na chwilę się oddalił, aby zorientować się w terenie. Ja miałam tkwić na miejscu i nie ruszać się ani na krok. Widoczność słabła. Przestraszyłam się, zaczęłam go wołać. Dobięł jego cichy głos. Ruszyłam w tę stronę. Nic nie widziałam. Podmuchy wiatru stawały się coraz silniejsze. Wiszący w powietrzu śnieg tańczył niczym baletnica. Byliśmy zagubieni, bezbronni, zupełnie nieprzygotowani do takich warunków i ciągle niezdający sobie sprawy z zagrożenia, które nas czeka. Z oddali zbliżał się głuchy pomruk śnieżnej burzy. Podjęliśmy szybką decyzję. Gdy wyruszyliśmy z domu, wiatr wiał nam w plecy, teraz powinien uderzać w twarz. Popelniliśmy błąd, bowiem szalejący wiatr, podrywał również śnieg z ziemi, tworząc w powietrzu wiry, przy których trudno było się zorientować w jego kierunku. Posuwaliśmy się powoli, często padając. Czuliśmy wewnętrzny lęk, który nie opuszczał nas już ani na chwilę. Kolejny krok, zaspą, wydobyć się z niej i znów kolejny krok

¹³ Chodzi o matkę Gienka i matkę Danuty.

¹⁴ Tuboń to długi, sięgający ziemi, szeroki kozuch.

i zapadamy się po pas w śniegu. Od czasu do czasu goły lód, w miejscach, z których szalony wiatr wszystko wymiółł. Po godzinnej wędrówce nie wiedzieliśmy, czy idziemy lądem, czy korytem rzeki. Chwilami nie widzieliśmy swoich twarzy, choć trzymaliśmy się za ręce. Zdecydowaliśmy się na powrót. Błądziliśmy po omacku. Znow minęły godziny. Nogi bolały. Chciałam usiąść, choć na chwilę, odpocząć. Gienek się nie zgadzał. Wówczas nie zdawałam sobie sprawy, że równało się to z niechybną śmiercią. Byliśmy wyczerpani do granic możliwości, a ciągnęliśmy za sobą puste sanki i siekierkę (cudze, pożyczone i nie do odkupienia). Sprawa wyglądała beznadziejnie, ale gdzieś w podświadomości tliła się iskierka nadziei. Nagle wyrosła przed nami dwumetrowa tyka, zamarznięta w przerębli. Jakim cudem oparła się burzy? Jeden Bóg wie. Byliśmy uratowani. Wiedzieliśmy już, że znaleźliśmy się w pobliżu wsi, obojętnie jakiej, ale blisko ludzkiego osiedla. Tubylcy, aby codziennie podczas zimy nie rąbać w innym miejscu przerębli, zatykali w niej grubą tykę z zawiązaną na czubku wiechą ze szmaty.

Wiosną 1941 r. pracowaliśmy przy ładowaniu pszenicy na barki. Szliśmy do Baszmasznej, oddalonej od Urliuciupu o 15 km. U stóp Irtysza stała zacumowana barka. Barkę z brzegiem łączyła kładka szerokości około 1 m. Przystąpiliśmy do pracy. Jedna grupa napełniała worki pszenicą i podawała drugim na ramiona, a ci balansując biodrami, nieśli je przez kładkę i wsypywali do luf. Trzecia grupa robotników szuflami odgarniała tę pszenicę od włazów. I tak przez cały dzień. Byłam przydzielona do drugiej grupy. Nosiłam na swoich barkach po pół worka pszenicy. Żonglowałam na kładce, panicznie bojąc się, że wpadnę do wody. Miałam 17 lat, pracowałam ponad siły. Ładowaliśmy barkę przez 3 dni. Nocleg odbywaliśmy na narach w jednym długim baraku. Kładliśmy się pokotem w ubraniu zmęczeni do granic możliwości. Po powrocie do Urliuciupu znow zorganizowano grupę Polek do pracy. Jako nadzorcę przydzielono nam starego Rosjanina w wieku około 70 lat. Szedł z nami również Waśka – piętnastolatek, który po drodze wspinał się na drzewa i z gniazd wronom oraz kawkom wybierał jajka. Ptaki złowieszczo krakały nad naszymi głowami.

Szliśmy kilka kilometrów piechotą w głąb stepu, a za nami jechała fura zaprzężona w byka, a na niej kilofy, łopaty i suchary. Bydło trzeba było gnać na wypasy. Jest wiosna, ziemia już pokryła się trawą, ptaszki ćwierkały, a w ziemiankach (bez szyb w oknach) od podłogi po sufit leżał topniejący, mokry, zbrylowany śnieg i lód. Tych chałup było sześć. Zbieraliśmy się do usunięcia śniegu z jednej chałupy. Było nas 6 kobiet (Polek) i Waśka oraz nadzorujący. Dwie kobiety i chłopak kroili w bryły topniejący śnieg, a pozostała czwórka wynosiła na rękach te olbrzymie kwadraty śniegu na zewnątrz. Rano ręce grabiały od zimna, a później, gdy słońce przypiekało, ręce stawały się czerwone, jak raki, niemiłosiernie paliły. Bryły śniegu były coraz cięższe pod wpływem topnienia. Opieraliśmy je o brzuch i koło południa byliśmy na wskroś przemoczone. Nie mieliśmy żadnej roboczej odzieży i nic do przebrania. Wieczorem na klepisku wysprzątanej chaty rozpalaliśmy ognisko, gotowaliśmy „kipiatok”¹⁵, aby popić suchary. Zdejmowaliśmy z siebie, co się dało i suszyliśmy nad ogniskiem. Na tej jeszcze mokrej ziemi kładliśmy się z kułakiem pod głową i zasypialiśmy.

¹⁵ Tak z rosyjska nazywano wrzątek.

W połowie lata zlecono mi pracę pastucha baranów. Stadko liczyło 50 sztuk. Każdego dnia rano, przed wygonem, owce przechodziły wąską furtką w celu policzenia. Byłam niewyspana tym codziennym rannym wstawaniem. Pasąc stado, natknęłam się na niewielkie „jeziorko”. Woda była słona, ale owce biegły do niej, a potem pokotem kładły się na ziemię. Mnie także męczyło pragnienie, opodal było bajoro pełne muszek i komarów. Przegarnęłam wodę, nabrałam w dłón i wypiałam. Nie myślałam o konsekwencjach tego czynu. Przykucnęłam. Zmorzył mnie sen, wstałam przecież o świcie. Jak długo trwała drzemka? Nie wiem. Zbudziłam się i nie zobaczyłam ani jednej owcy. Zdałam sobie sprawę z tego, co mnie czeka. Wpadłam w panikę, biegałam w prawo, w lewo, w przód, w tył. Nic, pustka. Nagle olśnienie. Przypomniało mi się, że jeden z rdzennych tubylców opowiadał, że owca zawsze idzie z wiatrem. Pobiegałam więc z wiatrem. Co widzę? Jest jedna owca, ta kulejąca, która nie nadążyła, za stadem. Widzę dwie, pięć. Jest całe stado. Trudno je policzyć. Z duszą na ramieniu popędziłam je do wsi, do zagrody. Przeliczono je. Były wszystkie. Odetchnęłam z ulgą. Znow nade mną czuwała opatrność. Swoją drogą, jakie to szczęście słuchać opowieści starszych. W życiu zawsze mogą się przydać.

Wieczorami zbierało się grono kobiet i urządzały seanse z wywoływaniem duchów. Pewnego dnia siedzieliśmy przy stole, na którym paliła się świeca. Ręce kobiety trzymały na stole. Jedna z nich wypowiadała następującą formułkę: „Duchu, duchu..”. Spod stołu usłyszałyśmy głos „przyjdź na zacieruchu”. To Henio Wykpsz wszedł pod stół i urządził nam seans. Zrobiło się wesoło i odechciało się nam wróżb.

Urliuciup był kołchozem z rocznym obrachunkiem za pracę. Dostawaliśmy jedynie na miesiąc na pracującego 7 kg mąki, ale częściej była ona wydawana ziarnem. Natomiast niepracujący członek rodziny, tak zwany „żywieniec”, otrzymywał 3,5 kg mąki (bądź ziarna), często było to proso. To było wszystko. Ziarno trzeba było zemieć na ręcznych żarnach. Żarna składały się z dwóch okrągłych, dopasowanych do siebie kamieni, dolnego nieruchomego i górnego poruszanego ręcznie. To była ciężka i bardzo powolna praca. Któregoś dnia przy mieleniu ziarna, mamie zmarzły ręce. Żarna stały w sieni u Rosjanki, sień była zimna, dziurawa i bardzo zagracona. Mama zabiła ręce ot tak po dorożkarsku i usłyszeliśmy brzęk obrączki. Mimo intensywnych poszukiwań, obrączki już nigdy nie znaleźliśmy. Mama bardzo ciężko przeżyła tę stratę.

Jak już wspomniałam, Urliuciup był kołchozem, więc znow wybrała się delegacja Polaków do NKWD do Żelezienki (35 km w jedną stronę) z prośbą, aby nas „przerzucono” do sowchozu¹⁶, gdzie obrachunek za pracę był miesięczny. Ja i Gienek, jako delegaci naszych rodzin, braliśmy udział w tej wyprawie. W drodze powrotnej miałam tak otarte i pokaleczone stopy, że każdy krok sprawiał mi ból. Gienek moje buty wyścielał trawą. Przejście jednego dnia 70 km było dla mnie ogromnym wysiłkiem.

Prośba nasza została uwzględniona, zostaliśmy przeniesieni do Priirtyszewskiego Zawoda. W Urliuciupie zostawiliśmy na cmentarzu panią Skowrońską

¹⁶ *Sowietskojechoziajstwo* czyli sowieckie gospodarstwo. Sowchoz był państwowym gospodarstwem rolnym w ZSRS.

i pana Wykpisza. Była już wczesna jesień, lato miało się ku końcowi. Tam zastałiśmy wiele rodzin polskich, niektórych znajomych z Zangaru (pierwsze miejsce pobytu na ziemi pawłodarskiej). Było znów różniej i weselej, młodzież śpiewała przedwojenne pieśni wojskowe oraz znane i lubiane. Była praca w polu przy sianie, na kombajnach, przy czyszczeniu ziarna z plew itp. oraz w rozlewni mleka. Pamiętam spośród młodzieży: dwóch Jabłońskich (Stach i Marian), Jurczaka, Kutylowskiego, Żukiewicza, Horbę, Wykpisza Henia (tego on zacieruchy), Stasiewiczza Zjutka i wielu innych, i oczywiście Gienka.

Pracowałam w polu przy układaniu siana w stogi oraz przy wialni¹⁷, czyszczeniu ziarn pszenicy (przeważnie od piołunu i plew). Któregoś dnia wracając z pracy do domu, zobaczyłam przed sobą Kazacha, który szedł tak jakoś dziwnie. Myślałam, że pewnie biedak jest chory. Rano znów go spotkałam, jak podążał do pracy. Szedł szybko, rażno. Wyzdrowiał? Wróciłam z pracy i znów go spotkałam. Szedł niemrawo, pomału, przyjrzałam mu się bliżej i zobaczyłam ciągnącą się za nim smużkę pszenicy. Już wiedziałam w czym rzecz. Kazach do portek (rodzaj szarawarów) wsypywał pszenicę, stąd ten ociężały chód. Nauka nie poszła w las. Nazajutrz szłam do pracy w kamaszach, a z pracy niosłam je w ręku. Przez okres żniw w worku było około 50 kg pszenicy. Była zimą zacierka i lepioszki¹⁸.

Jesienią 1941 r. nastąpiła tak zwana odwilż¹⁹. Polakom pozwolono na własną rękę przenosić się z miejsca na miejsce w dowolnie wybrany posesunek, czy miasto. Znalazło się kilka rodzin, które ruszyły w drogę do odległego o 250 km Pawłodaru. My przenieśliśmy się zaledwie o kilkanaście kilometrów – do Kirpicznego Zawoda. Rodzina Pietrzaków, Oliwniaków, Kutylowskich do Zagodskota, oddalonego od Kirpicznego o 2 km. Mój kontakt z Gienkiem ciągle trwał. W Kirpicznym zajęliśmy opuszczoną chałupę razem z panią Dworak, osobą samotną. Naprędce zrobiliśmy froterówkę z łajna końskiego (koniecznie z końskiego – nie pękała). Wybieliliśmy ściany. Czarek zbił z desek nary. W kącie chaty był ruski piec (taki do pieczenia chleba). Do pieca przyłączyliśmy rurą małą, dwupalnikową kuchenkę, ulepioną z gliny. Pod ścianą stanął mały sklecony z desek stół i dwa pniaki na siedziska. W chacie było jedno małe okienko, takie 50 na 40 cm i drzwi, które otwierały się na zewnątrz.

Pracę otrzymaliśmy w garbarni. To był taki szaflikowy wyrób skór na kozuchy. Garbarnią zarządzał leciwy starzec, zesłaniec z lat carskich. Odzieży roboczej nie było, więc cuchnęliśmy na odległość. W Kirpicznym była również cegielnia, stolarnia, później garncarnia i własny młyn. Własna uprawa pszenicy, pole arburowe. Jeden „zdechły” koń (przysłowiowa szkapa), kilka byków. Było również kilka furmanek, 1 kombajn, 2 pługi i 2 łodzie – krypy²⁰. To wszystko. Zarządcą była Ładakin (z twarzą po ospie) i kulejący zastępca dyrektora.

¹⁷ Wialnia to maszyna rolnicza służąca do oczyszczenia młóconego ziarna, oddzielająca zanieczyszczenia (kłosy, plewy).

¹⁸ Lepioszki stanowią gatunek chleba wyrabianego z mąki, wody i tłuszczu, bez dodatku drożdży. Na cieście odciska się wzór i przykleja się je na kilkanaście minut pieczenia do wewnętrznej części glinianego pieca.

¹⁹ Na mocy układu Sikorski-Majski Polacy byli zwalniani z obozów, więzień i miejsc zesłania. Mieli możliwość poruszania się na terenie ZSRS.

²⁰ Krypa to duża, otwarta łódź o płaskim dnie.

W Zagotskocie zajmowano się wyłącznie bydłem i sianem. Do Zagotskotu przyjmowano bydło, krowy, cielęta i owce w ramach podatku, należącego się państwu od ludności kołchozów i sowchozów. Gdy uzbierała się odpowiednia ilość bydła, gnano je wówczas do uboju „pasem” (to znaczy pasąc po drodze) do odległego o 250 km Powłodaru.

Natomiast nasza praca w garbarni wyglądała tak: w pomieszczeniu były 2 duże kadzie, 2 o normalnych rozmiarach beczki, 3 kobyliny (deski do obróbki skór). Była też kuchnia, gdzie grzano wodę. W kadziach moczyły się skóry owcze i bydłecze. Szef podsypywał jakiś proszek i co kilka dni sprawdzał, czy wełna i włosy wychodzą za pociągnięciem i prawdopodobnie sprawdzał miękkość skór. Nigdy nam nic nie mówił. Następnie wyjmowaliśmy skóry długimi drągami z kadzi. Były bardzo ciężkie. Kładliśmy je do małych beczek i podwijając spódnice, deptaliśmy po nich, po całych dniach. Od czasu do czasu szef podlewał je ciepłą wodą. Gdy uznał, że dość deptania, skóry kładło się na kobyliny i następowała zasadnicza obróbka. Narzędziami podobnymi do kosy, czyściliśmy skóry z błon, a bydłecze z sierści itp. Najgorzej było, gdy zwierzak za życia miał wrzody i gzy zrobiły w skórze legowisko. Wówczas pod wpływem naciśnięcia wrzód pękał i nieraz oblewał nam ropą twarz i ubranie.

Gdy na kobylinie znajdowała się owcza skóra, wówczas po kryjomu czesaliśmy ją, chowając do kieszeni wełnę. Tej wełny uzbieraliśmy sporo. Nauczyłam się prząść na ręcznym kołowrotku. Na drutach robiłam pończochy, skarpety i rękawiczki. Bratu robiłam kamizelkę. Skóry były poddane farbowaniu, suszone i wyciągane. Staruszek ubolewał nad tym, że nie ma odpowiednich chemikaliów, ale i tak dość dobrze to wychodziło. Widać było, że kiedyś był fachowcem w tej branży. Najgorzej było, że ubrania nasze cuchnęły i wietrzenie nie dawało pożądaných rezultatów.

Nastał luty 1943 r.²¹ – gruchnęła wiadomość. Mobilizacja. Na terenie ZSRS tworzyła się polska armia²². Wszyscy chłopcy w wieku 18 lat mieli stawić się w Żelezience. Oddaliśmy z mamą Gienkowi krótki policyjny kożuszek i kominiarkę (bo głowę mu ogolono) po naszym ojcu, aby mógł szczęśliwie (bez odmrożeń) dotrzeć do Pawłodar. Uszyłam mu woreczek na tabakę. Wziął moje zdjęcia i po krótkim pożegnaniu ruszył w drogę. Nawet nie było łez. Krótki pocałunek, uścisk i zapewnienie, że będzie pisał. Została pustka, otepienie.

Był rok 1943 na Syberii – Kirpiczny Zawod. Pracowałam w garbarni. Do moich obowiązków należało wstać rano, jeszcze o zmroku i rozpalić w piecu ogień. Do lepianki, w której mieściła się garbarnia jest przystawiony sękaty pień drzewa. Nikt nie trapił się by zrobić drabinę. Codziennie więc wspinałam się po tym pniu, wchodziłam na dach i wyjmowałam z komina wiechę ze szmat, którą był zatkany (taki rodzaj szybra). Rozpalałam ogień i przystępowałam do mieszania gliny. Gлина musiała być wyrobiona, jak masło. Każdy kamyk i jego kruszynki musiały być wyjęte. Z początku ręce w przegu-

²¹ Prawdopodobnie autorka wspomina ewakuację żołnierzy z armii generała Władysława Andersa na Bliski Wschód.

²² 14 sierpnia 1941 r. Władysław Sikorski i Iwan Majski podpisali umowę wojskową, która dała podstawę do rozpoczęcia formowania Armii Polskiej w ZSRS. Dowodzenie armią powierzono generałowi Władysławowi Andersowi.

bach miałam spuchnięte. Z biegiem czasu doszłam do wprawy i ręce już nie puchły. Przychodziła garncarka oraz jej pomocnica i brały się do roboty. Nie było śniadania, kanapek. Jadło się przeważnie raz dziennie w pracy. W przerwie od pracy, jedna, drugiej kładła głowę na kolanach i tłukła wszy. Było ich co niemiara i gdyby nie słynne „banie” te wszy zjadłyby nas z kretesem. Przypominam sobie, jak wyglądała ta „bania”. Była to lepianka, w niej stał piec z mnóstwem kamieni, a obok beczki z wodą. Gdy piec był rozpalony do białości, ktoś wchodził i wiaderkiem chlustał wodę na kamienie. Powstawało mnóstwo pary i hajda do kąpieli. Gdy ciało się rozgrzało i pot płynął ciurkiem, jedna drugą tłukła miotłą brzoową. Mydła nie mieliśmy. Walonki, po rusku „pimy”, zostawiało się na dworze, bo do „łazni” nie było żadnego przedsiönka. Kiedyś zimą, po takiej kąpieli, wychodzę oblana potem, a tu moich „pim” nie ma. Chociaż później mi je zwrócono, do domu po śniegu przybiegłam boso. I przekonałam się, że gdy ciało jest rozpalone do zenitu, zimna się nie czuje. Rosjanie często wybiegali z bani, turlali się w śniegu i ponownie biegli do kąpieli.

Jak wyglądała nasza chatka? Z dwóch stron wkopana w ziemię. Front i lewa ściana ulepiona z gliny, a w dole łąka, szuwary wierzb, splecione krzewy jeżyn i hen, hen, Irtysz. Tę chatę odkupiliśmy od żony młynarza za kamasze, które otrzymywaliśmy z puli UNR-owskiej²³. Młynarz szedł do pracy, wbijał paliki, a żona mieszała glinę ze słomą i łajnem krowim i metr po metrze lepiała dom. Dach miał kilka żerdzi brzoowych, pokrytych chrustem i gliną. Było jedno okienko o wymiarach 40 na 50 cm. We wnętrzu pod ścianą stały nary, na których spaliśmy pokotem.

W domu tym co miesiąc lub częściej robiliśmy ekstra porządki. Otóż mieszało się glinę z łajnem końskim dość rzadko i pokrywaliśmy podłogę i ścianę. Następnie wapnem bieliło się ściany. To nas ratowało od pcheł, pluskiew i wszelkiego robactwa, ale nie od komarów. Właśnie nie od komarów. W miesiącu lipcu i sierpniu, kiedy oblegała nas plaga komarów, było trudno to znieść. Biliśmy napite naszą krwią komary na twarzy, rękach, nogach. Mieliśmy je we włosach i ustach. Nie było mowy o wypoczynku i śnie. Robiliśmy tak, jak tubylcy. Kładło się na klepisku kawałki suchego łajna, podpalało je i zamykało szczelnie drzwi, zatykając szpary. Po pół godzinie, kiedy wnętrze było pełne dymu, jedna osoba wchodziła do pomieszczenia ze szmatą i na okienku tłukła zgromadzone tam komary. Szyba była pełna krwi. Zabieg ten powtarzało się dwu- lub trzykrotnie i kiedy dym osiadł, kładliśmy się spać. Koło północy znów słyszeć było brzęczenie.

W tym czasie wiele osób chorowało na malarię. Nie ominęła ona mnie i brata. To straszna choroba i właściwie nieuleczalna. Było jej kilka odmian. Ataki powtarzały się, albo codziennie, albo co drugi dzień. Podczas ataku całe ciało dygocze, jak w konwulsji, zęby szczękają, nikt i nic nie rozgrzeje, aż do momentu wystąpienia gorączki. Wtedy głowa pęka z bólu, ciało coraz bardziej płonie, usta stają się suche, jak skorupa. Temperatura sięga -40 stopni C.

²³ United Nations Relief and Rehabilitation Administration (stąd zwana potocznie UNRRA). Była to organizacja zajmująca się świadczeniem pomocy krajom europejskim dotkniętym skutkami II wojny światowej (poprzez dostarczanie żywności długoterminowej, odzieży, itp.)

Nazajutrz budziłam się potwornie osłabiona i szłam do pracy. Szłam? Wlokłam się. Pamiętam, że kiedyś podczas tej choroby, pracowałam przy orce, szłam za pługiem po ataku febry, kiedy nastąpiła gorączka, położyłam się w świeżo zaoraną brudę ziemi i chłonełam jej chłód. Nazajutrz już nie wstałam do pracy, kazano mi jechać do Żelezienki do „wracza” (doktora). Podwodą (furmanką) kierował starszy wiekiem Rosjanin. Lekarz przypisał mi agorchininę, lek pochodny chininy. Gdy wykaraskałam się z malarii, brat ciężko zachorował na „cyngę” (szkorbut). Ruszały mu się wszystkie zęby, a nogi były pokryte wrzodami. Leżał w szpitalu. Jedynym lekarstwem była cebula, o którą też nie było łatwo.

Po oblężeniu Leningradu (nie wiem, jakim cudem uratował się od wojska) przyjechał do Kirpicznego towarzysz Bagrow. Pan w średnim wieku w miarę otrzaskany z kulturą. To on darzył nas Polaków sympatią i namówił mamę, aby wiosną „dała” brata za stróża bakszy. I tak się stało. Brat wybudował szałas, dniował i nocował na tej bakszy. A ja po skończonej pracy w garnelni, biegłam do niego i tam nocowałam, aby było mu raźniej. I tak co dzień. Kiedy zgrupowali odpowiednią partię zwierząt, angażowali załogę i tak zwanym „pasem” gnali je do rzeźni w Pawłodarze. Mnie zatrudnili jako stróża baranów (nocnego). Zwierzęta były podzielone na trzy grupy: 1) krowy i byki 2) cielaki 3) barany. Każdą grupę zwierząt obsługiwało po dwóch pastuchów i dwóch stróżów nocnych. Był również weterynarz i człowiek odpowiedzialny za spęd.

Była jesień 1944 r. W dzień bydło było gnane wytyczoną trasą, po drodze pasło się, skubiąc stepową trawę. Na noc zawsze zatrzymywaliśmy się nad rzeką Irtysz, aby napoić bydło i ułożyć się do noclegu. Po codziennej wędrówce myśliśmy się w rzece, rozpalaliśmy ognisko, kobiety doily krowy. Każdy wyciągał swój żelazny przydział sucharów, popijał mlekiem (jeśli udój był wystarczający) albo wodą wprost z rzeki. Spało się pokotem na ziemi – noce wówczas już były chłodne.

Tego roku zdobyliśmy nasiona kapusty, wysialiśmy je wiosną, przepikowaliśmy i zasadziliśmy. Kapusta, jako tako urodziła, ale skąd wziąć beczkę na jej zakwaszenie? Okazja czyni złodzieja. Kusiła, nęciła. Kiszona kapusta była dla nas lekarstwem, jednym źródłem witaminy C. Ten przebyty skorbut przez brata, był właśnie skutkiem braku tej witaminy. Po tygodniu znów wypad do Zagotskota. Beczka, jak stała tak stoi. Następnego dnia specjalnie przedłużyłam swój pobyt w Zagotskocie. Wysłałam o zmroku. Pani Kutylowska miała codzienne ataki febry. To już nie był człowiek, ale leżący trup. Podjęłam szybko decyzję o zabraniu beczki. Niosłam ją na ramionach. Nikogo nie spotkałam. Nazajutrz brat skrócił trochę beczkę i założył nowe obręcze. Pracował w tym czasie jako cieśla. Nikt beczki nie szukał. Miejscowi nie mieli w zwyczaju kiszenia kapusty, ani jej uprawy. Ta beczka służyła nam do końca naszego pobytu w Rosji. Panie Boże będą chyba odpowiadać na tamtym świecie za swoje postęпки: a to noszenie w kamaszach pszenicy, a to udział w rzezi jałowki, a to beczka.

Wiosną 1945 r. dotknęła nas powódź. Irtysz wylał i woda podeszła pod naszą chałupinę. Przed powodzią na łąkach, po drugiej stronie Irtysza, cieśle ze spiłowanych wierzb ciosali klepkę i układali ją w studzienkę. Nie zdążono jej zwieść. Groziła powódź. Dostaliśmy polecenie zwiezienia klepki łodzią. Do tego zadania wybrano mnie, Hankę Gądelę i Kacię – Rosjankę. Ani ja, ani pani Hanka, nigdy nie pływałyśmy łodzią i nie miałyśmy pojęcia o wiosnowa-

niu, a pływać umiała tylko Rosjanka. Rzeka podtopiła już gęste zarośla. Fale gnały łódź w stronę brzegu wprost w zarośla. Nagle łódź stanęła. Wiosłem próbowałyśmy sięgnąć dna. Nic z tego. „Ale heca!” – pomyślałam i nagle opanował mnie śmiech. Śmiałam się jak wariatka do rozpuku, ale pani Hanka, naprawdę przestraszona, prędko przywołała mnie do porządku. Wspólnymi siłami powoli zaczęłyśmy cofać łódkę i dosłownie po centymetrze, wiosłując do tyłu, wpłynęliśmy w koryto rzeki. Woziliśmy tę klepkę cały dzień. Krypa przeciekała, była zanurzona po krawędzie w wodzie, a my we trójkę na wierzchu sterty klepek. Po takim dniu miałam ręce pełne roztartych do krwi pęcherzy. Tu nie liczył się nigdy człowiek.

Gdy wychodziłam z domu, widziałam tylko czubki wierzb, sterczących z wody. Po spłynięciu wody w koryto rzeki, pozostał muł i wtedy sadziliśmy kapustę i ziemniaki. Ziemniaki rosły w tempie przyspieszonym, były wielkie o różnych kształtach, ale bardzo wodniste. Od roku 1943 kopaliśmy step i tam sadziliśmy ziemniaki. Cóż z tego? Ziemniaki zimą marzły, mimo że trzymaliśmy je pod narami w mieszkaniu. Tak było ciepło w naszej chałupie. Paliliśmy suszonym łąjnem mieszanym ze słomą. Lepiliśmy z tego placki, suszyliśmy na słońcu, a zimą to był nasz zapas „węgla”. Paliliśmy również łożyną, którą można było zdobyć zimą, gdy rzeka zamarzała. Taka mokra łożyna niewiele dawała ciepła. Przez sześć lat nie było papieru, nawet gazet. Jak wyglądały nasze fizjologiczne potrzeby, łatwo sobie wyobrazić. Pamiętam tylko Kirgizów, jak wychodzili na step z czajnikiem, kucali, a potem podmywali się. Skąd ta nabyta kultura? Do herbaty używano jedynie samowarów.

Każdego roku, a w Kirpicznym przeważnie w miesiącach lipcu i sierpniu, bałam się panicznie komarów. Gdziekolwiek się ruszysz idzie za tobą słup komarów o metalicznym dźwięku. Dostawałam szoku. Pamiętam, któreś nocy zerwałam się i pędziłam w step. Odbiegłam kawał drogi od chałupy. Nasłuchuję, nic nie brzęczy. Cisza. Kładę się skulona na ziemię, co za ulga. Za chwilę znów słyszę ten metaliczny dźwięk i chmara komarów atakuje moje włosy, twarz, pcha się w usta. Tnie ręce, szyję i atakuje niemiłosiernie. Dziś rzadko kiedy ugryzie mnie komar. Być może to skutek przebytej malarii.

Tej wiosny roku 1945, tak pięknie rozkwitł step, fiołkowymi krokusami w różnych odcieniach oraz sasankami, potem rozkwitły żółte irysy. Uroczy widok. Pracowaliśmy przy sadzeniu arbuzów. Drogą jechała ciężarówka. Ktoś do nas krzyknął „Rzucajcie robotę. Koniec wojny!” W serce wstąpiła nadzieja. „Wrócimy do Polski. Dzięki Ci Boże miłosierny”!

Niestety przed nami była jeszcze jedna zima. Ziemniaki jak zwykle pod narami zmarzły na kamyk. Do dziś pamiętam ich słodki smak. Znów przyszedł buran, siedzieliśmy zamknięci w chacie, aż tu nagle w suficie trzask i ukazały się przednie kopyta konia. Okazało się, że podróżny zboczył z zasypanej śniegiem trasy i wjechał saniami na dach naszej chałupy. Dobrze, że w porę się zreflektował i wycofał konia do tyłu. I on i my najedliśmy się strachu, co niemiara. Znów szczęście dopisało!

Nastał maj 1946 r. Otrzymaliśmy odpowiednie dokumenty. Władze dostały rozkaz rozliczenia Polaków, bo od 1943 r. nie dostaliśmy za pracę żadnej pieniężnej zapłaty „pajoku”. Ruszyliśmy w drogę. Na furze z tobołkami my, a za nami pół Kirpicznego z bałałajką i przyspiewką. Tu mała dygresja do przyspiewek. Były one komponowane na bieżąco i trzeba dodać – z wielkim

talentem (np.: „Zarezali habana, Try niedzieli, Kiszki jeli”). W Żelezience czekaliśmy na statek, który miał nas zwieźć do Pawłodaru, a stamtąd koleją do Polski, ale statki naładowane ziarnem nie chciały się zatrzymać. W kolejnym dniu do przejeżdżającego statku, który również nie zbliżył się do pomostu, wojskowy strzelił w górę. To pomogło. Po ostrej wymianie zdań, zabrali nas na pokład, ale tak naprawdę to statek był przeciążony i podróż nim naprawdę była niebezpieczna. Panowała zbyt duża euforia. W Pawłodarze pogoniono nas do łaźni (banii). W czasie tej podróży kilkakrotnie udostępniano nam banie. Dbano o to, aby jak najwięcej wszy pozostało u nich („szto majo oddaj”). Wagony towarowe już nie były zamykane na sztaby. W Moskwie podczas godzinnego (może dwugodzinnego) postoju odwiedziłam z kilkoma odważnymi i młodymi osobami „Krasnaju Płuszczad”, Mauzoleum Lenina i Kreml. Oczywiście wszystko z zewnątrz i w wielkim pośpiechu. Co mnie wtedy uderzyło na ulicach? Wielkie sklepy – prawie puste. Dziś nie odważyłabym się na taki wypad. A nuż pociąg odjedzie bez mnie. Młodzieńcza brawura zrobiła swoje. Pomijam kolejne trasy, miasta, pociągi wiozące Polaków, mężczyzn z łagrów i ich umęczone, ale uśmiechnięte twarze.

Nie mogę jednak zapomnieć tego dnia, gdy pociąg nagle „nie z gruszki, nie z pietruszki” zatrzymał. Niektórzy zaciekawieni wyszli z wagonów. Zobaczyłam po przeciwnej stronie nieduży las, drogą szła kobieta z gałązką bzu. Podbiegam do niej, wzięłam z jej ręki bez i wachałam. Przez sześć lat go nie widziałam. Zapytałam ją: „Gdzie my jesteśmy?” Odpowiedziała: „Katyń”. Powiedziała jej, że tam pomordowano Polaków, a ona odpowiedziała „tam rasniot les”. Czy to był przypadek? Czy Polacy jadący w pierwszym wagonie mieli jakiś układ z maszynistą? Nie umiem na to odpowiedzieć.

Pamiętam również taki obrazek. Dojeżdżaliśmy do granicy. Pociąg stanął. Nastąpiła kontrola dokumentów. Z sąsiedniego wagonu wyszedł Irańczyk z walizką (lichą, z dykty, czy czegoś takiego). Ten Irańczyk był mężem Polki, pani Jadwigi Jabłońskiej, mieli dwoje dzieci (chłopców). To jego po prostu przemycali w wagonie Polacy. Przy kontroli dokumentów musiał wysiąść. Gdy kontrolerzy dochodzili do ostatnich wagonów, stojący na stopniach sąsiedniego wagonu Żyd, patrolującemu wagon żołnierzowi wskazał ręką zegarek ręczny i palcem Irańczyka. Żołnierz kiwnął głową na „nie”, ale wrócił! Żyd pokazał mu duży kieszonkowy zegarek. Odpowiedź była tym razem na „tak”. Ja również stałam na stopniu sąsiadującego wagonu i bacznie temu wszystkiemu przyglądałam się. Żołnierz podszedł bliżej do stopnia wagonu, błyskawicznie wziął zegarek i oddalił się. Darczyńca bacznie obserwował „komisję” i w momencie, gdy wychodzili z ostatniego wagonu rozległ się gwizdek, wybawca krzyknął „Wańka, ty zabrał mój czamadan”. Wskoczył, chwycił go za rękę i wskoczyli razem do wagonu. Nie wiem, jak w Polsce potoczyły się losy Irańczyka.

W czerwcu 1946 r. nasz transport dotarł do Białegostoku. Wyładowali nas na boczny tor, na rampę. Podjęłam szybko decyzję. Mama z Czarkiem zostaje, a ja idę na ulicę Mickiewicza do cioci Naci (jedyna siostra mamy). Biegłam przez miasto, minęłam ze wzruszeniem kościół farny. Minęłam planty, jak te drzewa urosły...! Wreszcie, ulica Mickiewicza. Wkroczyłam pod nr 15. Jest w podwórzu mały domek, przyspieszam kroku. Ktoś wygląda oknem. I radość, i zdziwienie – „Danusia?” Krótkie powitanie, naprędce zrelacjonowa-

łam sprawę, że mama i Czarek, czekają na dworcu, że trzeba nasze tobołki przewieźć. Na szczęście w domu był wujek Edek. Szybko znalazł furmankę i pojechał po szwagierkę. Nareszcie odetchnęłam z ulgą, mogłam przywitać się po ludzku, opowiedzieć o naszym powrocie. W domu cioci przybyła jeszcze jedna osoba, mała Ania.

Gienek wrócił 17 lipca 1947 r., a w grudniu, na drugi dzień świąt Bożego Narodzenia (w piątek) był nasz ślub. Ach, cóż to był za ślub... Suknia uszyta była ze spadochronu (oczywiście z białego nylonu). Gienek przed powrotem do kraju uszył sobie dwa garnitury, jeden granatowy, a drugi brązowy i przywiózł obuwie oraz pół spadochronu. To był cały jego wojenny dorobek. Był jeszcze mundur lotniczy, w którym przyjechał. Dzisiaj, z perspektywy minionych lat, gdy patrzę na fotografię z tamtego okresu, śmiało rzec mogę, że był fajnym, przystojnym facetem. W Białymstoku poszłam do pracy. Po likwidacji Ochrony Skarbowej (miałam szczęście do likwidowanych zakładów) tym razem służbowo przeniesiono mnie do Państwowego Zakładu Ubezpieczeń, skąd odeszłam po 34 latach pracy na emeryturę. Gienek zmarł 4 lipca 2001 r., a pogrzeb był 6 lipca (piątek). Były upadki i wzloty, cierpienia i radości. Przeżyliśmy z sobą ponad 53 lata, a wszystkie najważniejsze sprawy działy się dnia trzynastego lub w piątek.

Swoje wspomnienia zakończę refleksją: z natury jestem osobą mało-mówną i trudno mi czasem powiedzieć to, co czuję, łatwiej natomiast przelać na papier, choć i to czasem wypada nieudolnie. Są fakty trudne do uwierzenia dla tych, którzy tego nie przeżyli. Myślę jednak, że podstawowe rzeczy nie przemijają. Trzeba żyć, tyle jeszcze do zrobienia, a czas nieuchwytnie goni naprzód. Tak trzeba nieść swój krzyż i żyć dalej. W tej chwili, przypominają mi się słowa św. Moniki do synów „Złóżcie gdziekolwiek moje ciało, niech wam o nie troska nie sprawia kłopotu. O to was tylko proszę, abyście przed ołtarzem Pańskim o mnie pamiętali, gdziekolwiek będziecie”.*

* Autorka relacji Danuta Pietrzak (z domu) Słoniewska – urodziła się w 1924 r. 13 kwietnia 1940 r., jako nastolatka, została wywieziona z rodziną do Kazachstanu. Jej wspomnienia znajdują się w Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku i przygotowane zostały do druku w „Zesłańcu” przez mgr Monikę Szarejko, pracującą w tym muzeum.